



Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Sztuka latania

Ludzka droga przez życie przypomina Le Parkour – również usłana jest przeszkodami. Trauczerzy te przeszkody pokonują. My, zwykli śmiertelnicy, tylko je omijamy.

Kiedyś uczyli się chodzić, dzisiaj naśladować lot ptaka. Niemożliwe? Dla nich nie ma rzeczy niemożliwych. Zwinni jak zwierzęta wypuszczone na wolność, przemierzają ulice, by wyrazić siebie. Dążą do doskonałości, próbują odnaleźć swoją drogę życia. Przez każdą część ich ciała przechodzą impulsy energii.

On – stuknięty optymistą. Mawia, że ludzie nie unikają w jego przypadku porównań do dzikich zwierząt: zwinni jak małpa, szybki jak gepard i... uparty jak osioł. Mamie zawdzięcza długie palce pianisty (dzięki którym bez problemu może objąć barierkę i zakręcić się wokół niej o trzysta sześćdziesiąt stopni) i sokoli wzrok. Narzeka na krótką pamięć i za krótkie nogi. Uzależniony od adrenaliny, kofeiny i nikotyny. Jego historia z Le Parkour zaczęła się od filmu „Yamakasi”. Stwierdził, że warto zasmakować czegoś nowego. Jego babcia stale powtarza, że podczas jednej z pierwszych ewolucji musiał uszkodzić głowę i – z równym jemu uporem, stara się namówić go na wizytę u specjalisty. Gdy skacze z budynku na budynek, towarzyszy mu ekstaza. Od trzech lat zakochany w LPK (skrót od Le Parkour), od dwóch lat w dziewczynie. Jednym słowem: Przemek.

Ona – studentka stosunków międzynarodowych we Wrocławiu. Nie ma głowy na karku, tylko w chmurach. Dobrze wie, czego chce. Gdy nie ma nastroju, robi front flipa (salto w przód) z rozbiegu albo bije rekordy na jak najszybsze zejście po schodach. Chłopczyca – w dzieciństwie skakała przez płoty i wspinała się na najwyższe drzewa w okolicy. Od czasów pierwszej komunii nie miała na sobie sukienki. Odporna na ból – dodaje jednak, że tylko na

ten fizyczny. Od półtora roku kocha sporty ekstremalne, od dwóch lat Przema. Z chwilą urodzenia Ala. Dla najbliższych Alex.

Podwójna miłość

On o niej: – To była miłość od pierwszego wejrzenia. Właściwie trudno to tak nazwać, bo nie widziałem nawet, jaki ma kolor włosów, oczu, jaką ma figurę. Było tak ciemno, że ledwo udało mi się rozpoznać, że mam do czynienia z dziewczyną. Ujęło mnie w niej flow i jej niepoohamowana determinacja. Gdy zobaczyłem, że przychodzi w to samo miejsce, o tej samej porze i ciężko haruje, przypomniała mi się bohaterka filmu „Za wszelką cenę”. Pamiętam, jak wspinała się na stary barak, ale jej nie wychodziło. Wstawała i próbowała od nowa. Oboje mamy nierówno pod sufitem. Obawialiśmy



Fot. Joanna Weghńska

jomi przeważnie kłócą się o to, że ktoś nie posprzątał mieszkania czy znowu wrócił z imprezy kompletnie pijany. Nas to śmieszy. Najczęściej kłócąc się z Alex o to, że nie po-

z jej ust pada: „Dlaczego mnie ograniczasz?”. Nic dziwnego, że się o siebie troszczymy, zdrowie w tej sztuce jest najważniejsze, bo każda część ciała, ba, każdy mięsień, w tym uczestniczy. Lekarze mają sceptyczne podejście do tego sportu. Uważają, że nasze stawy są obciążone i narażone na urazy bardziej niż u szarego człowieka, ale my mamy to gdzieś. Potrafimy sami o siebie zadbać.

Ona o nim: – Po naszej pierwszej randce byłam pewna, że Przemek jest dobrym materiałem na kumpla. Mamy prawie identyczne poglądy i ten sam sposób na życie. Oboje z trudną prze-

ślabej nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Zazdroszczę mu jego umiejętności, ale jednocześnie to motywuje mnie do dalszej pracy. Pamiętam, jak Przemek długo nie mógł znaleźć pracy. Śmiał się, że znalezienie dobrej oferty jest jak Le Parkour – niełatwe.

Lecąc nad przeszkodami

– Le Parkour jest bardzo złożone – opowiada o swojej pasji Przemek. Podstawowym założeniem jest biegnący człowiek, którego nic nie zatrzymuje. Nie jest to tylko sport ekstremalny. To sztuka przemieszczania się z wykorzystaniem architektury miejskiej.

Podstawowe zasady Le Parkour są proste: poruszanie się ma być płynne, szybkie i możliwie najbardziej efektywne. Torem przeszkód jest miasto. Wszystko to, co nas otacza, może stać się przeszkodą, którą można pokonać. To, w jaki sposób to zrobimy, zależy tylko od naszej wyobraźni i możliwości. Oboje twierdzą, że Le Parkour jest próbą wyzwolenia się z jakichkolwiek ograniczeń, umożliwia rozwój sprawności fizycznej, koordynacji, determinacji, motywacji, siły, wytrzymałości. Parkour to dla nich coś więcej niż sport. To droga życia, droga do odnalezienia siebie, a nawet nauczania się kontroli nad własnym ciałem. Przyznają, że nie jest łatwo – i nie mają na myśli ograniczeń własnego ciała. – Często ludzie nawet nie chcą się dowiedzieć, co tak naprawdę robimy – krzywi się Alex. – Nazywają nas wandalami bądź określają jako rozwydrzoną młodzież. Jednak liczy się to, że odstawiamy od społeczeństwa. W końcu uprawiamy sport, w którym głównym motywem jest wolność.

PAULINA ŁUKASIK

Udanych, szalonych i pełnych wrażeń wakacji,
samych słonecznych dni oraz
niezapomnianych przygód

życzy

zespół redakcyjny „Szlifu”

się tego, że jak przyjdzie miłość, wtedy wszystko się zmieni i stanemy się usatkwowanymi, ułożonymi i – co gorsza, nudnymi ludźmi. Tak się na szczęście nie stało. Nasi zna-

winna wykonywać danego tricku, bo jest to dla niej niebezpieczne. Wystarczy jednak jej charakterystyczne wyzywające spojrzenie i wtedy następuje moment, kiedy

szłością. Przemek przyznał się, że uważał Le Parkour za sport tylko dla facetów. Ja udowodniłam mu, że się mylił. W jego oczach przełamalam stereotyp kobiety

Koniec nudy

Masz dość nawet komputera? Tęsknisz za towarzystwem? Chcesz przeżyć coś nowego? Wrocławianie doskonale wiedzą, jak sobie radzić!

Wielu nastolatków oczekuje od życia nieco więcej, niż stania w bramie, popijając piwo. Niestety, ich ogromny potencjał jest niewykorzystywany przez brak ośrodków kultury. Stowarzyszenie Żółty Parasol postanowiło pomóc wszelkim zainteresowanym, tworząc Klub Młodzieżowy IMPULS – i to w samym śródmieściu!

Krótką historią

Organizacja powstała dwa lata temu z inicjatywy grupki ludzi, którzy wychowali się na osiedlu Ołbin (miejsce, gdzie stoi kościół Świętego Michała Archanioła) oraz chcieli wesprzeć lokalną społeczność. Dopięli swego między innymi poprzez otwarcie 29 stycz-

nia bieżącego roku centrum mającego być wymarzoną miejscem spotkań. Wybrali dom rodzinny Edyty Stein – patronki Europy – przy ulicy Nowowiejskiej 38, a następnie zaplanowali całą masę atrakcji dla wszystkich chętnych w wieku od czternastu do dziewiętnastu lat. – Wiecie, czasem nawet gry internetowe mnie nudzą. Trzeba robić coś nowego! – śmieje się Mikołaj Bartoszek, uczestnik klubu.

Prawie jak dom

Pierwsze spotkanie miało miejsce w bardzo przytulnym pomieszczeniu pełnym książek, gier czy powieszonych na ścianach demotywatorów – obrazków z komentującymi je podpisami, zawie-

rającymi rozmaite mądrości. Przyszło czterdzieści osób. Poznali się i omówili wizję swojej działalności. Następnie uczestnicy otwarcia klubu wzięli udział w warsztatach gry na bębnych afrykańskich oraz pokazie filmów animowanych.

Na kolejnych zajęciach było nieco mniej osób, ale dzięki temu klimat przypominał domową atmosferę. Oczywiście to nic wobec planów IMPULS-u.

Dla każdego coś dobrego

W poniedziałki od godziny siedemnastej trwa specjalnie dla miłośników nicnierobienia „Typowy Dzień Klubowy”. Można porozmawiać o problemach życia codziennego, skorzystać z internetu czy posłuchać muzyki. – Naprawdę da się zabić czas. Na osiedlu nie ma nic do roboty, a tu



Fot. Ewa Ługowska

jest ciekawie – twierdzi Bartek Duda, mieszkaniec Ołbina.

Dla kreatywnych stworzono czwartkową „Fabrykę Inspiracji”. Po godzinie siedemnastej wszystkie pomysły dozwolone. Od warsztatów kulinarnych przez dyskusje koła filmowego aż do tworzenia graffiti. Najlepsze mają być zajęcia dodatkowe. Tworzenie kabaretu, teatrzyku i musicalu czy grupy fotograficznej lub tanecznej... Nic, tylko wybierać! Jednak na młodych ludziach „Parasol” nie poprzestanie.

Łączymy pokolenia

– Oprócz grupy dla nastolatków mamy też Klub Seniora IMPULS. Dla wszystkich organizujemy dwa spotkania tygodniowo. W przyszłości chcemy, aby niektóre z nich były połączone. Zależy nam na przełamaniu stereotypów oraz integracji ludzi – opowiada Katarzyna Wierzińska, prezes zarządu Stowarzyszenia Żółty Parasol. – Seniorzy nie są tylko sztywniakami, a dzieci chuliganami – zauważa. Jak mówi motto organizacji: „Spotkanie to początek, bycie razem to postęp, wspólna praca to sukces”. Przy tylu dobrych chęciach nie powinno być trudno.

Działajmy!

– Przyjdźcie zobaczyć nasz klub. Możemy razem zrobić coś zarówno dla siebie, jak i dla lokalnego środowiska – apeluje pani Katarzyna. Warto spróbować. Nawiele jest miejsc, w których znajdziecie tak wiele rozrywki oraz możliwości rozwoju.

JAKUB ZBĄDZKI

Okiem
RecenzentaElektronika
z bajki

Kadencje akordów, gamy, skale, harmonia, rytm – oto niektóre z zagadnień muzyki. To całkiem proste zasady, dające się wytłumaczyć ludzkim językiem, klarowne, ba – ich znajomość jest nawet pożądana. Tak, muzyka zdecydowanie składa się z całym prostych rzeczy, w pełni wytłumaczalnych. Ale jak wkomponować w nią zapach wiosennej trawy? Jak wywołać u słuchacza stan permanentnego rozluźnienia, spokoju, pokazać mu przed oczami obraz nieokreślonego piękna, a nawet szczęścia? Żaden teoretyk muzyki nie jest w stanie tego wytłumaczyć ani podać żadnej zasady, wypracować może to tylko kompozytor, opierając się na własnej muzyce duszy.

Ten niewytłumaczalny i nie ujmowany w żadnych ramach zabieg udało się fińskiemu zespołowi Husky Rescue na ich płycie SHIP OF LIGHT.

Cała muzyka Husky Rescue jest mieszanką popu, ambientu i elektroniki. Proszę nie przerażać się słowem „pop”. W tym przypadku to zdecydowanie muzyka z bardzo wysokiej półki i – jak na moje ucho – w subtelny, lecz zarazem zdecydowany sposób wyłamuje się ona z wszelkich konwensów muzyki rozrywkowej. Kompozycje z albumu są proste, piosenki całkiem normalne, mają teksty, zwrotki, a nawet refreny. Jednak w każdej z nich został ukryty pierwiastek czegoś, co my nazywamy po prostu... czymś, bo nie umiemy tego określić, a co jest właśnie magią muzyki. Moim zdaniem, na ten sukces składa się umiarkowana (nawet oszczędna) i umiejętnie użyta elektronika. Do tego dochodzą również bardzo dobre partie perkusyjne (zachwycające wyczuciem i prostotą a nie skomplikowaniem!) i słodki wokół Reety – Leeny Korholi. Jednak jeszcze trochę dzwoneczków, jeszcze trochę mięciutkich basów i album byłby tak słodki, że aż nie do przełknięcia, ale na szczęście sytuację znów ratuje elektronika, która ostrymi, zdecydowanymi wcięciami rozbiła całą cukierkowość „Ship of Light”. Już od pierwszych sekund odtwarzania niespieszne nuty płynące z głośników wywołują spokój i odsuwają świat na dalszy plan, bowiem pierwszy na trackliście jest kawałek „Sound of Love”, zdecydowanie jeden z najlepszych, przywiązujący wręcz do odtwarzacza. Inne utwory zasługujące na wspomnienie to hipnotyzujące „We shall burn bright” i „They are coming”, w którym perkusista Anssi Sopenan dał popis swoich możliwości – utwór wręcz kołysze i głaszcze, trzeba mu tylko na to pozwolić.

„Ship of Light” polecam do słownie wszystkim, niezależnie jaką muzykę preferuje, ponieważ Husky Rescue jest w stanie zaczarować każdego. Jedyne, co trzeba zrobić, to otworzyć się na coś alternatywnego i coś, co wygląda i brzmi jakby wyszło prosto z bajki.

Karolina Kula

Sensei w sutannie

Z księdzem BARTŁOMIEJEM BŁOŃSKIM, mistrzem japońskiej sztuki walki ju-jitsu, rozmawia Magdalena Ciupa

► Nie co dzień spotykamy księży z takimi zainteresowaniami. Religia chrześcijańska naucza przecież o miłości do bliźnich i nie pozwala na żaden rodzaj przemocy fizycznej. Czy można więc pogodzić sporty walki z wiarą katolicką?

– Jest to raczej formowanie człowieka, czyli dążenie do doskonałości fizycznej i psychicznej, a nie propagowanie agresji. Każdy adept ju-jitsu wie, że nie ma prawa używać technik, któ-

► Rozpoczynając treningi, wiedział Ksiądz, że zostanie duchownym?

– Nie, ponieważ miałem wówczas zaledwie siedem lat. Sport zawsze był dla mnie bardzo ważny, a nad kapłaństwem zacząłem się zastanawiać dopiero w liceum. Wtedy jeszcze nie traktowałem tego poważnie. Dwa lata po maturze wstąpiłem do seminarium, czując już prawdziwe powołanie.

► Ju-jitsu nie jest tak popularne jak karate, czy taekwondo.

ra ma odwrócić się przeciwnika i skierować ją w jego stronę.

► Próbował Ksiądz swoich sił w innych sztukach walki? Dlaczego akurat ju-jitsu?

– Wiązało się to z konkretnymi ludźmi, których poznałem. Jednakże miałem już wtedy dwadzieścia dwa lata. Zaczęłem natomiast od karate shotokan. Trenowałem też taekwondo, muay thai, czyli thaiboxing, oraz karate kyokushin.

► W 2009 roku zdobył Ksiądz stopień mistrzowski. Na czym polegało to wydarzenie?

– Jest to egzamin państwowy, zdawany przed komisją złożoną z osób mających najwyższe stopnie w kraju. Trwa on kilka godzin. Najpierw prowadzona jest rozgrzewka, a następnie kandydaci przedstawiają parami swoje umiejętności. Od rzeczy najprostszych po te naprawdę trudne, które trzeba nie tylko wykonać, ale i wiedzieć, jak się nazywają. Na końcu jest jeszcze realna walka, polegająca na ataku jednego lub kilku przeciwników. Mogą oni mieć narzędzia, krzesła czy inne niebezpieczne przedmioty. To ma pokazać, jak pretendent umie poradzić sobie w sytuacjach życiowych.

► Trudno jest pogodzić służbę kapłańską z dbaniem o sprawność fizyczną?

– Czasami tak, ale jeśli ułożę sobie dobry plan, to udaje mi się wszystko dopasować. Obowiązków jest zawsze dość dużo, a treningi zależą od pory roku. W zimie większą wagę przykładam się



ks. Błoński i Bartosz Rozwadowski

re przyswoił, do robienia komuś krzywdy. Panując nad ciałem i duchem, staramy się żyć miłością i unikać każdej niepotrzebnej walki, co równocześnie jednoczy nas z Bogiem. Jeśli jednak chodzi o obronę, to mamy do niej prawo, gdyż Jezus rozmawiając z żołnierzami, mówił, że mogą chronić siebie i innych, ale nie wolno im wszczynać bójek, grabić i wyzykiwać.

Co kryje się pod tą nazwą?

– Istnieje wiele legend tłumaczących genezę tego słowa. W jednej z nich mężczyzna obserwował różne drzewa podczas huraganu. Zauważył, że prawie wszystkie się łamały. Tylko wierzbowa wyginała się i wracała do swojej pozycji. Ju wyraża pojęcie naginania się, a jitsu oznacza drogę samodoskonalenia. Dlatego jest to łagodna, miękka sztuka ustępliwości, któ-

Kolorowy ptak z pokolenia X Factor

– Szanujmy go, naprawdę. Jak się okaże, że jest kosmitą, to wyślemy go tam, gdzie jego miejsce, ale jak się okaże, że jest artystą, to będzie nam głupio – stwierdził przed jego występem Kuba Wojewódzki. I było.

Z MICHAŁEM SZPAKIEM, kontrowersyjnym wokalistą i uczestnikiem programu X Factor, rozmawia Paulina Początek

► Czy występ w programie muzycznym, realizowanym przez telewizję TVN, był tym spełnieniem marzeń, o którym mówiłeś na castingu?

– Pierwszy raz śpiewałem przed tak dużą publiką, ale liczę na coś więcej, na przykład koncert na stadionie Wembley.

► Poza śpiewem duże wrażenie na ludziach zrobił także Twój wizerunek. Skąd ten image?

– Powstawał na przestrzeni lat i tak już się trzyma. Zaczęło się jakoś w podstawówce. Po prostu tak chciałem, tak mi się podobało. W ciuchach, w których występuję na scenie, chodzę także na co dzień i dla mnie to jest zupełnie normalne.

► Na Twoje wyjście część publiczności zareagowała negatywnie. Zabolalo Cię to?

– Nie, absolutnie! Już się przyzwyczaiłem, po mojej minie na twarzy było widać, że się trzymam. W zasadzie w każdym mieście spotykam się z takimi reakcjami i nie robi to na mnie wrażenia.

► Przed występem Maja Sablewska kazała Ci zdjąć biżuterię. Czy na potrzeby programu i kariery byłbyś gotów zmienić coś w swoim wyglądzie?

– Ewentualnie mógłbym ściągnąć jeden z czterech pierścionków. Na pewno pozostaną przy obecnym wizerunku. Być może pozwolę sobie na jakieś małe przeróbki, ale wszystko będzie zachowane w moim stylu.

► Czy pracujesz nad swoim głosem przed kolejnym nagraniem?

– Tak, cały czas. Generalnie ćwiczę sam, chociaż ostatnio odezwało się wielu nauczycieli, którzy chcą mnie szkolić. Głównie jednak przeprowadzają rozspiewki, więc zbyt dużego ustawienia nie potrzebuję.

► Czy można usłyszeć Cię gdzieś na żywo na koncercie?

– Na razie nie. Półtora roku temu zakończyłem współpracę z zespołem Whiplash, później tworzyłem solowe projekty, ale aktualnie nie mogę, ponieważ jestem związany umową z X Factor.

► Udzielasz pierwszych wywiadów, w internecie pojawiły się już nawet plotki na Twój temat. Czy zauważyłeś jakąś zmianę w swoim życiu, odkąd stałeś się popularny?

– W zasadzie nie zmieniło się nic poza liczbą osób, które mnie znają. Jestem tylko roz-



Fot. materiały prasowe

poznawany na ulicy, to wszystko. Ostatnio na przykład, kiedy szedłem warszawską Pragę, czyli właściwie najniebezpieczniejszą dzielnicą miasta, zaczęło mnie dwóch facetów. Spytali: „Boże, to Ty? Michał Szpak z X Factor?”, odpowiedziałem, że tak, na co oni: „Zaję... zaśpiewałeś!” i oczywiście poprosili o zdjęcie.

► Wygraną w programie jest między innymi sto tysięcy złotych. Zastanawiałeś się, co zrobiłbyś z tymi pieniędzmi?

do ćwiczeń na siłowni, a wiosną można także wyjść na świeże powietrze, co pozwala utrzymać lepszą formę.

► Będąc w seminarium, wraz z przyjaciółmi założył Ksiądz zespół muzyczny. Wiązał się kiedykolwiek przyszłość z show-biznesem?

– Myśleliśmy o tym, ale wybraliśmy kapłaństwo. Jednak chcieliśmy w jakiś sposób pogodzić te drogi. Każdy z nas znał się trochę na muzyce i wykonując utwory chrześcijańskie, staraliśmy się utrzymać je na jak najlepszym poziomie. Wydaliśmy dwie płyty, w czym pomagały nam czasem osoby kończące akademię muzyczną. Graliśmy też z ludźmi, którzy robią teraz karierę. Wszystko wynikało z pasji. Aktualnie planujemy reaktywację, ale jest to trudne ze względu na obowiązki i to, że mieszkamy w różnych częściach Polski.

► W mediach osoby duchowne coraz częściej występują w kontekście afer finansowych czy związanych z pedofilią. Co Ksiądz czuje, gdy słyszy takie informacje?

– Uważam, że nie należy tego uogólniać. Z pewnością zdarzają się takie przypadki, gdyż każdy z nas jest grzeszny i może zrobić czy powiedzieć coś nieodpowiedniego. Jednak trzeba mieć na uwadze, iż czasami owe skandale powodowane są chęcią wzbudzenia sensacji czy zniszczenia komuś życia. Powszechnie uważa się również, że Kościół miesza się w politykę. To nieprawda. Owszem, jest tak, ale tylko wtedy, gdy dzieje się coś złego, kiedy ingeruje się w wartości chrześcijańskie czy wolność lub godność człowieka.

► Dziękuję za rozmowę.

Facebook dla umarłych

Widzimy bramę cmentarną, pozornie przechodzimy przez nią, wybieramy pogodę, jaka ma nam towarzyszyć podczas odwiedzin naszych zmarłych. W tle leci melodia, nadając ponury klimat. Dbanie o grób wymaga tyle wysiłku, a przecież w tym wypadku... wystarczy tylko kliknąć!

Coraz większą popularnością cieszą się cmentarze internetowe. Właśnie tam można łączyć się w bólu z tymi, którzy stracili swoich bliskich. To idealne miejsce do wyrzucenia z siebie tego, co ciąży nam na sercu. – Wirtualny cmentarz został założony z myślą o upamiętnieniu tych, którzy odeszli z tego świata. Chcemy dzięki temu przechować pamięć o nich w internecie – wyznaje Dariusz Pałęcki, twórca wirtualnego cmentarza.

Niektórzy ludzie podchodzą do tego pomysłu entuzjastycznie. Wśród nich jest Artur Maziarz, użytkownik strony internetowej www.ogrodywspomnien.pl, który pomysł pochwała i jest pewien, że kiedyś z niego skorzysta. U innych temat budzi pewne kontrowersje. – Cmentarze internetowe to jedno wielkie dno. Po co tworzyć coś takiego? Nigdy nie

zgodzę się na pomysł wirtualnego odwiedzania moich bliskich. Od tego są cmentarze, te realne, te z nagrobkami, krzyżami, zniczami. Nie psujemy tego – mówi Aneta Gawroń, studentka Szkoły Aktorstwa i Musicalu we Wrocławiu.

Zapał znicz, tylko za 9,99!

Dogodne warunki modlitwy za zmarłych proponuje serwis www.e-cmentarz.pl. Twórcy takich portali nie zrażają się słowami krytyki. – Jeżeli mówimy o moralności to warto zaznaczyć, że reguły, które obowiązują w internecie, nie odno-



Rys. Jan Chocaj

szą się do żadnych zasad etyki chrześcijańskiej. Na stronie www.cmentarzeswiata.pl umieściłem zdjęcia z pochówków na wyspie Bali, którą ostatnio odwiedziłem. Tam śmierć nie jest końcem,

lecz początkiem nowego życia. Pogrzeb – uwolnienie duszy – jest tu dniem szczęśliwym. Czy to się ma jakoś do moralności chrześcijańskiej? Świat jest ciekawy dlatego, że jest różnorodny i w nim także ma swoje miejsce wirtualny cmentarz – twierdzi Dariusz Pałęcki.

Wszystko brzmi zachęcająco, dopóki nie przejdziemy do rubryki „cennik usług”, gdzie dowiadujemy się, ile będzie nas kosztował pomnik dla bliskich, kwiaty czy znicz. Co prawda cena wirtualnego znicza jest wyższa od tego normalnego, kupionego w sklepiku obok cmentarza, ale ta internetowa lampka pali się niemalże nieustannie. Wystarczy zapłacić dwadzieścia złotych, a płomyk – symbol życia, nie zgaśnie, aż do upływu stu osiemdziesięciu dni. Nie można przegapić takiej okazji!

Ku pamięci

– Nie chciałbym, żeby moje dzieci czy wnuki kojarzyły mnie

tylko z miejscem, gdzie raz do roku trzeba posprzątać, przynieść kwiaty, odmówić zdrowąkę i westchnąć żałośnie ze dwa razy na myśl o dalszym wyścigu po grobach wszystkich krewnych. Niech już lepiej usiądą w domu, wyciągną zdjęcia, butelkę wina i przypomną sobie, kim właściwie była babcia i mama. Niech zapalą znicz, skoro już tak bardzo muszą – mówi Anna Łabądz, studentka Politechniki Wrocławskiej.

Jak widać, cmentarze internetowe są doskonałą ideą na przyszłość. Szczególnie dla ludzi zapracowanych, którym posprzątanie grobu sprawia wielki trud. Kto wie, może za kilka lat tradycyjny obrządek chrześcijański zaniknie i pozostanie nam tylko klikanie myszką oraz tępe patrzywanie w monitor komputera. Oby i ta czynność nie znużyła się naszym przyszłym pokoleniom. Bo co wtedy będzie? Kto zadba o nasze fikcyjne konta? Przynajmniej będziemy mieli pewność, że pozostaniemy w internecie na wieki wieków, amen.

MAGDA PACEK

Polska marudą Europy

Są gościnni, przebiegli, nie stronią od alkoholu, kochają zabawę, kradną. Tak mówią o Polakach ludzie za granicą. Jednak coraz częściej można usłyszeć o nas: malkontenci. Czy jest w naszym kraju osoba, która nie narzekała na coś chociażby przez jeden dzień?

– Może i zrzędzimy dużo, ale w końcu jest na co. Począwszy od władzy, polityki, zarobków, a skończywszy na dziurawych chodnikach i kiepskiej komunikacji miejskiej – przyznaje Ela Trybulec, licealistka z Wrocławia. Jak wynika z obserwacji psychologów – jest coraz gorzej. Nie zauważamy pozytywnych aspektów naszego życia.

Niezdeterminowana... aura?

Wszystko zaczyna się od pogody... – Co to ma być za zima? Bez śniegu? Nie do pomyślenia! Ani to ciepło, ani zimno. Ciśnienie się waha, głowa pęka. Nie to, co kiedyś... Mróz taki, że wszystko aż pod butami skrzypiało, nosy czerwone, na oknach witraże z lodu i zasypane śnieżne poszycie. Dzieci uciechę przynajmniej miały. A teraz? Nic, tylko w domu siedzieć! – żali się Danuta Andrzejewska, kobieta po osiemdziesiątce.

Ale kiedy już spadł pożądany śnieg, a temperatura zarysowała się mocno poniżej zera, pani Danuta wykrzyknęła: – Może i rzeczywiście spadł, ale co to za śnieg? Piętnaście centymetrów? Kpiny jakieś! Nie wiadomo, które buty włożyć. Zimno, chlapa,

ślisko na chodnikach, nieodgarnięte zasy, a na dodatek sypie mi zawsze w twarz.

Jak widać, pogoda nie umie dogodzić Polakowi. Kiedy jest śnieg – źle, kiedy go nie ma – jeszcze gorzej. Krótko mówiąc, klimat złośliwy, aura nie ta, jakby wszystko było przeciwko nam.

Niezdarni sportowcy

Nie można przecież wiecznie narzekać na pogodę, dlatego w sukurs idą nam nasi sportowcy. – Myślę, że Euro 2012 to będzie wielka kompromitacja. Zarówno ze strony organizacyjnej jak i sportowej. Nasz zespół nie odnosi zbyt wielkich sukcesów na arenie międzynarodowej, więc będzie to ogromna pomyłka – mówi Jakub Berkowski, kibic piłki nożnej.

Dla nas, Polaków, nieważne jest, co się stanie, jaki będzie wynik meczu, czy na podium stanie nasz reprezentant. I tak wypomniemy mu jego największe porażki.

Pech do władzy

– Rząd mamy beznadziejny. Politycy żrą się między sobą, a komisje śledcze powstają jak grzyby po deszczu. Wzięliby się za coś pożytecznego. Wkrótce

wybory i nie ma żadnej sensownej partii, na którą można by oddać swój głos. Myślę, że nie warto nawet wychodzić z domu, aby zagłosować z myślą, że to nic w naszym społeczeństwie nie zmieni – stwierdza Janusz Paszkiewicz.

Do głosowania w naszym kraju nie przystępuje więcej niż połowa obywateli. Jak w takim razie chcemy wybrać dobrą władzę?

Nie ma pracy

Po ciężkim dniu jadę tramwajem, liczę na chwilę spokoju, ale niestety, słyszę rozmowę dwóch studentów, którzy narzekają na bezrobocie w naszym kraju.

– Co to za państwo, w którym nie ma miejsc pracy dla obywateli? Szukam jej od dwóch lat i nic. Przeglądam gazety, strony internetowe, roznoszę CV, jednak nigdzie nie ma dla mnie posady – żali się jeden z nich. Na pytanie kolegi, czy był chociaż na jednej rozmowie kwalifikacyjnej, odpowiedział: – Owszem. Kilka razy zaproponowano mi nawet pracę, ale odmówiłem. Za małe wynagrodzenie, a poza tym zbyt daleko od domu, musiałbym się tłuc zatłoczonym autobusem ponad godzinę, nie wspominając o korkach...

Cóż, praca jest, tylko trzeba jej poszukać i niestety nie zawsze będzie ona odpowiadała naszym wymaganiom. Wóz albo przewóz.

Hobby – marudzenie

Nietrudno nam o temat do narzekań. Nawet jeśli go nie ma, nieźle sobie radzimy. – Ludzie, którzy zrzędzą, to z natury pesymiści. Skoro wszyscy narzekają, to my też musimy. Nie ma osoby, która przerwałaby tę spiralę, bo usłyszy w odpowiedzi, że jest za młody, jeszcze go życie kopnie w tyłek i zobaczy, jak dorośnie, wtedy dopiero wszystko zrozumie – mówi Adrianna Błaszczuk, psycholog.

Czy jest dla nas jakiś ratunek? Czy może już cieszymy się opinią unijnego malkontenta? Drodzy rodacy! Tematów mamy wiele i są na pewno ciekawsze od niekulturalnej młodzieży, skaczącego ciśnienia, że jest za

ciepło, za zimno, za drogo czy za daleko. Wystarczy cieszyć się życiem i choć raz stwierdzić, że coś nam się podoba lub nas satysfakcjonuje. To naprawdę nie jest takie trudne!

JOANNA WĘGLIŃSKA

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Portfel – skręć w lewo!

Jest takie miejsce na Ziemi, gdzie znaleźć można wszystko – pół salonu kosmetycznego i całe mnóstwo szpargałów. Damska torebka to skarbnica rzeczy potrzebnych codziennie i tych, które nigdy się nie przydadzą.

Każda zawiera tak zwany zestaw obowiązkowy, a mimo to nie ma dwóch takich samych torebek! To jedyna na świecie materia nieożywiona, która żyje swoim życiem. Torebka jak torebka, zwykła rzecz – mówi każdy z panów. Jednak, gdy przychodzi lato i kieszenie stają się zbyt małe, by schować wszystkie niezbędne rzeczy, mężczyźni zaczynają rozumieć ich fenomen.

Wszystko i nic

W czym tkwi ich sekret? To zagadka, której żaden z przedstawicieli płci brzydkiej nie jest w stanie rozwiązać. Tak naprawdę wiele kobiet też tego nie wie. Może fakt, iż są one prywatną przestrzenią – małym, kobiecym światem – sprawia, że są tak wyjątkowe. A może to, że tyle różnych, często nawet niepotrzebnych rzeczy można w niej zmieścić.

Poszukiwany, poszukiwana

– Klucze, nawet dwie pary. Szminka, ze trzy sztuki. Do tego błyszczak – wylicza Anita Wrzosek, studentka medycyny. Są też chusteczki, trochę niepotrzebnych papierów, kalendarz, ulubione cukierki...

To niewiarygodne, jak wiele rzeczy można znaleźć w damskiej torebce i jak dziwne są to nierzaz przedmioty. – Dopiero wczoraj wyciągnęłam z niej

pompkę do piłki. Była tam dwa tygodnie. Zwyczajnie zapomniałam wyjąć ją po treningu syna – mówiąc to Elżbieta Malec, mama dziewięciolatka, zaczyna się śmiać.

Igła w stogu siana

Damskie torebki są ładne, szykowne, poręczne i przede wszystkim pojemne. Czasem jednak aż za dużo. Zapytany o to, dlaczego kobiety wszędzie je ze sobą zabierają, Mateusz Polan, sprzedawca w dziale z galanterią, odpowiada: – Kobiety twierdzą, że noszą je, bo nie wiedzą, co i kiedy im się przyda. Jednak tak naprawdę nie wiedzą, co i gdzie mają – dlatego zabierają ze sobą wszystko.

Panów często ten nieporządek irytuje. – Kiedyś czekałem dziesięć minut w kolejce, bo dziewczyna przede mną penetrowała z pasją wnętrze swojej torby w poszukiwaniu portfela. Byłem zły do momentu, gdy na podłodze nieoczekiwanie znalazły się jej pończochy. To było naprawdę śmieszne, przynajmniej dla klientów sklepu – dodaje Jakub Kamiński, tegoroczny maturzysta. I taka właśnie jest prawda – większość kobiet połowę swojego życia spędza na przeszukiwaniu swoich torebek! Drogie panie, może pora zainwestować w nawigację...?

JOANNA ŻUREK



Rys. Natalia Sperling

Sportowa szlifierka

Wieczorem na wrocławskim Rynku zobaczyłam tłumy ludzi gromadzące się w jednym miejscu, wyraźnie skupione na jakimś show. Podeszłam bliżej i ujrzałam świeczki, które tworzyły kwadrat, a w jego środku stało kilkoro młodych ludzi. Dwójka chłopaków grała na bębnach, nastolatka rozgrzewała się przed występem, a główna postać, na której skupiali się wszyscy, znajdowała się w centrum widowiska. Dziewczyna, o której mowa, ubrana na czarno, stojąca boso, wymachiwała czymś w rodzaju sznurka zakończonego płomieniem. Tańczyła, wyginała się w rytm muzyki, ciągle przeplatając ręce i tworząc tym samym ogniste koła. Wszystko żyło własnym życiem, jakby czas zatrzymał się na chwilę, jakby był ich. Niezwykle płynne widowisko tworzyło niepowtarzalny klimat. Wbiegła druga tancerka i wymieniały się ogniem. Zaczęli to miejsce.

Wracając z Rynku, byłam pod ogromnym wrażeniem pokazu, musiałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego tańca.

Miłość od pierwszego wejrzenia

– Z ogniem sprawa jest prosta. Albo absolutnie ujmie cię ten sposób artystycznego sportu, albo nie – mówi Agnieszka Piecuch, założycielka wrocławskiej grupy tańca z ogniem „Almama-ter”. – Zaczęłam, mając szesnaście lat. Zapisalam się wtedy na warsztaty we Wrocławiu i zupełnie oszalałam na punkcie ognia. Uczylam się więc sama, aż za-

Fot. Lukasz Janikowski



częło mi wychodzić. Wiedziałam, że to jest coś, czego szukałam, mały impuls i ogromna odskocznia od tego, co mnie otaczało na co dzień – dodaje. Agnieszka była zmuszona przerwać taniec w pewnym momencie swojego

życia, gdy wyjechała wraz z chłopakiem do Szwajcarii.

– Zaczęło mi brakować tańca, owszem, ćwiczyłam czasem sama, ale to nie to samo, jak wówczas, gdy prowadziłam grupę. Wszystkiego ich nauczyłam i jestem z nich

Jest jak ćma – igra z ogniem

Nie są ani cyrkiem, ani teatrem. Tworzą ruchome obrazy, a jednak to nie malarze. Ciągłe poszerzają swoje grono i łączy ich wszystkich wspólna pasja. Jedni powiedzą, że to czyste szaleństwo, inni uznają to za parę gryzmołów malowanych światłem, dla jeszcze innych będzie to sport, nie sztuka – tych tancerzy to już nie odstrasza. Pogodzeni z subiektywną oceną, palą wszelkie schematy...

bardzo dumna. Nasz zespół to byli głównie licealiści. Duma jednak pozostaje. Stęskniłam się za tym klimatem, teraz, gdy jestem na ognisku, stoję naprzeciwko kogoś, kto zapala papierosa czy przy jakiegokolwiek innej iskieierce – wszystko nadal żyje we mnie.

Odwagi

To nie jest łatwy sport, szczególnie że nietrudno w nim o uszkodzenie ciała. – Wiadomo, że istnieje niebezpieczeństwo, ale zazwyczaj wynika ono z głupoty. Pamiętam, jak w trakcie duetu ze znajomą, wymieniałyśmy się poi (sznurami zakończonymi płomieniem) a ona przysunęła się za blisko i zaczął płonąć jej bok. Trzeba liczyć się z tym, że to sztuka ekstremalna, która wymaga wielu ćwiczeń, bo w przeciwnym razie wciąż będziemy nieporadni – wyznaje Magda, kolejna założycielka grupy tańczących z ogniem. Nie wyobraża już sobie innej pasji. Urozmaica ją sobie i nie ogranicza się do samego wywijania poi czy kijami, sięga także po inne kombinacje – chodzenie po rozżarzonych węglach czy taniec światła.

Artystyczne potyczki

– Sport z wykorzystaniem ognia nie musi już po godzinie nudzić widzów. Jest tyle możliwości! Na przykład polykam ogień – ożywiona kobieta przechyla głowę do tyłu, tłumacząc, że wówczas są minimalne szanse na poparzenie. Komentuje, że należy być ciągle na wydechu, wtedy dwutlenek węgla dusi ogień, można się poparzyć jedynie, trzymając zbyt blisko pochodnię.

Co mają na sobie tańczący z ogniem? Wszystko, co naturalne, żadnych sztuczności, włosy związane w chustkę, żadnej filozofii! Magda przyznaje, że spotykają się raz w tygodniu w trzysobowym składzie, w jednym ustalonym miejscu, a innym razem na sali w większej grupie. Żyją tym, co robią. To w nich jest drugi płomień.

Poza pasją jest to także zarobek. Za pokazy raz w miesiącu mogą zarobić do ośmiuset złotych, niekiedy występują częściej i wtedy zbiera się całkiem duża suma. – Myślę jednak, że żadne z nas nie robi tego dla pieniędzy. Wiesz, jedni skaczą z mostu na bungee, inni na spadochronach z samolotu, niektórzy ścigają się samochodami z zawrotnymi prędkościami, jest masa sposobów na podniesienie sobie adrenaliny. Jestem pewna jednego – wszystko, co robię, sprawia, że nie znam nudy. To dobry sport dla ludzi ceniących sobie niekonwencjonalne pomysły – dodaje dziewczyna, o której śmiało można powiedzieć, że jest jak ćma – igra z ogniem...

JUSTYNA PIŚMIENNY

Felieton Szlifu

Była sztuczna mgła, ukryci snajperzy, a nawet UFO – kiedy już żadnych podobnie przekonujących i logicznie umotywowanych powodów katastrofy smoleńskiej nie dało się wymyślić, opadło zainteresowanie tematem tragicznego lotu. Jednak, jak wiadomo, przyroda nie znosi próżni, więc szybko trzeba było ją czymś zapęłnić. Jako że z braku laku i kit dobry, padło na burdywywoływane przez pseudokibiców na stadionach podczas meczów piłkarskich, które okazały się wdzięcznym tematem do tworzenia nowych teorii spiskowych.

Działacze PiS, przodujący w tej dyscyplinie, już znaleźli prawdziwą przyczynę zamieszek. I wcale nie jest to wina pseudokibiców, uznających spotkania piłkarskie za pretekst do bijatyki, czy władz klubów, policji lub wymiaru sprawiedliwości, który nie pali się do egzekwowania podobno tak dobrego prawa. Tak naprawdę to rządowi zależało na prowadzeniu wojny z fanami sportu, więc podstawieni prowokatorzy podjudzali tłum do walki. Dziwne, że jeszcze nie padło podejrzenie na

Rosjan i Niemców, ale to zapewne tylko kwestia czasu.

Z drugiej strony, pytanie, na czym właściwie zależy rządowi, jest jak najbardziej uzasadnione,

premiera o zamykaniu stadionów. Wydawałoby się, że nietrudno wpaść na prosty ciąg przyczynowo-skutkowy, że jeżeli stadiony zostaną pozamykane, to nie będzie

Stadionowe fantazje

bo chyba nie na dobru normalnych, spokojnych kibiców. Dlaczego? Wystarczy spojrzeć chociażby na ostatnią fantastyczną decyzję

widowisk, co za tym idzie – kluby nie będą miały pieniędzy, a za transmisję meczu w telewizji trzeba będzie płacić.



Fot. Monika Parda

W tym kontekście pytania o stan psychiki polityków, które część z nich tak oburzały, zdają się nie być bezpodstawne, a to tylko jeden z wielu przykładów paranoicznych działań ludzi odpowiedzial-

nych za Polskę. Może rzeczywiście osoby ubiegające się o wysokie stanowiska państwowe powinny składać oświadczenia o zdrowiu psychicznym. By żyło się lepiej.

DARIA BOROWSKA

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

29 kwietnia 2011 r. Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska gościła pana Pawła Czumę, dyrektora Biura Prasowego Urzędu Miejskiego we Wrocławiu. Opowiedział o inwestycjach, jakie są realizowane i planowane na terenie Wrocławia. Mówił o obwodnicach, remontowanych trasach tramwajowych, rozładowywaniu zatorów drogowych, ale także o projektach będących miłą odskoczną od codzienności, takich jak rower miejski.

Gościem 13 maja 2011 r. był dziennikarz i rzecznik Wrocławia do spraw Osób Niepełnosprawnych – pan Bartłomiej

Skrzyński. Z wielkim zapałem opowiadał nam o swojej działalności społecznej, dziennikarskiej, zamiłowaniu do żużlu, odbytych podróżach i planach na przyszłość.

W piątek, 20 maja 2011 r., Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska gościła pana Leszka Cichońskiego, gitarzystę i wokalistę bluesowego, a także organizatora wrocławskiego Thanks Jimi Festival. Wspólnie zastanawialiśmy się, jaka jest zależność między formatem gwiazdy a liczbą gitarzystów, którzy zjawiają się na wrocławskim Rynku, by próbować pobić rekord.

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

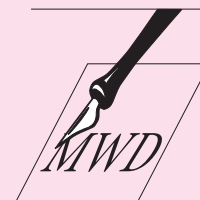
Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
e-mail: szlif_mwd@o2.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński
Przewodnicząca MWD: Paulina Kolańska tel. 600 453 310
Redaktor naczelna: Patrycja Pietruszka tel. 727 538 243
Z-ca red. naczelnej: Daria Borowska
Sekretarz redakcji: Magda Haglauer
Przygotowanie do druku: I-BiS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.